

**OLO BEREG**



**ŁAJNE KFIATKI**

Olo Bereg

ŁAJNE  
KFIATKI

© Copyright by Olo Berg & e-bookowo  
Projekt okładki: Olo Berg  
ISBN 978-83-63080-92-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)  
Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie I 2012

## Wakacje

W Związku Radzieckim zaczęła się na dobre pierestrojka, Izrael wycofał się z Libanu. W lipcu w Londynie i Filadelfii odbył się największy koncert charytatywny. Ministrem spraw zagranicznych ZSRR zostaje Eduard Szewarnadze. Matka Boska w Medziugorje wzywa wszystkich do zaopatrywania się w dewocjonia (koniecznie – poświęcone, aby odstraszały niejakiego Szatana). W sierpniu Japończycy doświadczyli największej katastrofy lotniczej w historii, a na początku września ekspedycja z Bobem Ballardem na czele odnalazła wrak Titanica, który spokojnie na to czekał na dnie oceanu przez siedemdziesiąt trzy lata. Kate Winslet miała wówczas prawie dziesięć lat, a Leonardo DiCaprio był o rok starszy.

W Polsce natomiast skazano działaczy „Solidarności”, drożeje kiełbasa, a na koncercie w Jarocinie mój ulubiony zespół – „Republika” – zostaje obrzucony pomidorami i kefirami.

Po raz pierwszy kupuję miesięcznik „Fantastyka” (zaintrygowała mnie okładka z gołą dupą i napisem „Siedem grzechów głównych polskiego science fiction”) i jadę na obóz pionierski do Czechosłowacji. Pierwszy raz za granicę!

Obóz znajdował się na kompletnym odludziu, w lesie, gdzieś w Beskidach. Oprócz młodzieży z Polski byli też Słowacy (oburzali się, gdy mówiliśmy na nich „Pepiki”) – dzieci pracowników pobliskiej fabryki walizek. Kierownik ze strony polskiej na początku wydawał się fajnym gościem, ale po dwóch dniach wszyscy zmienili o nim zdanie – nie dość, że był trochę niezrównoważony (rzucił do wychowanków sztuczkami podczas

posiłków, kiedy ktoś zbyt głośno się zaśmiał), to jeszcze na dokładkę posuwał naszą wychowawczynię.

Ogólnie było całkiem fajnie – budzono nas o północy i ganiano po lesie, zwiedzaliśmy fabrykę walizek, gdzie ze smrodu można było puścić pawia, nauczyliśmy się wielu praktycznych czynności, jak rozpalanie ogniska w stylu kanadyjskich traperów, alfabetu Morse'a albo piosenek typu „Marysia pusu daj, mamy se ne boją”.

Była też nauka całowania „z języczkiem”. Ten kurs był jednak tajny, to znaczy nie wiedzieli o nim wychowawcy. Prowadził go niejaki Jacek, który mieszkał w tym samym domku co ja i najwyraźniej miał skłonności biseksualne – w dzień chodził z najładniejszą laską na obozie, a wieczorami dawał „korepetycje” chłopakom. Uczestnikami mogli być tylko ochotnicy, którzy w miarę regularnie myli zęby i jednocześnie nie śmierdziało im z gęby. Miałem szczęście i jakoś się zakwalifikowałem, choć łatwo nie było... Szczerze mówiąc, miałem pewne opory: bałem się, że całowanie się z innym chłopakiem może jakoś negatywnie wpłynąć na moje późniejsze życie erotyczne. Pojawiły się również wątpliwości natury moralnej, ale w końcu doszedłem do wniosku, że dopóki traktuję to jako naukę nie powinienem się z tego spowiadać. Podczas pierwszej lekcji Jacek bez specjalnego ostrzeżenia wepchnął mi swój język prawie do gardła. Ponieważ w okresie letnim miałem zawsze zapchany nos z powodu alergii – nie mogłem złapać oddechu. W akcie desperacji – być może był to zwykły, choć nieopisany jeszcze w fachowej literaturze, odruch Pawłowa – ugryzłem swojego nauczyciela w język, żeby się wyswobodzić i nabrać w płuca trochę świeżego powietrza. Jacek oczywiście się wkurzył i zaczął krzyzczeć, że takiego idiotę nie będzie niczego uczył, bo to nie ma sensu – i tak nie znajdę dziewczyny. Przez pewien czas miałem nawet pewien uraz psychiczny spowodowany tym doświadcze-

niem: kiedy miałem pocałować jakąś dziewczynę, zastanawiałem się, czy jej nie ugryzę, albo – co gorsza – czy ona mnie nie capnie zębami w język. Dlatego zawsze wołałem się upewnić, czy mam do czynienia z kimś doświadczonym, czy z nowicjuszką. Zdecydowanie preferowałem te pierwsze.

W drugiej połowie obozu wpadłem w oko jednej Słowaczce – niejakiej Petrze. Była dosyć przy kości, miała małą dziurkę pomiędzy jedynką i dwójką, no i trochę zezowała. Ale poza tym była niczego sobie. Graliśmy razem w badmintona albo w ping-ponga i gdy tak sobie graliśmy pewnego popołudnia Petra spytała się ni z tego, ni z owego: „Ty masz mnie rad?” Nie znając zbyt dobrze języka słowackiego, domyśliłem się, że może chodzi o to, czy ją lubię, więc odpowiedziałem, że tak i owszem, mam ją bardzo rad. Ona wówczas się rozpromieniła i zaproponowała, żebyśmy się spotkali po kolacji, na ławeczce tuż za jadalnią. Tak też się stało. Usiedliśmy naprzeciwko siebie. Na początku było krępujące milczenie, po chwili jednak usłyszałem pewien znajomy mi dźwięk i nie mogłem uwierzyć, że to dzieje się naprawdę – Petra puściła sobie dosyć głośnego bąka, po którym znowu nastąpiło krępujące milczenie. Zarówno ja jak i ona nie daliśmy po sobie znać, że „coś” się wydarzyło. Najpierw ja chrząknąłem jak prosie, potem ona niby zakasłała i w końcu zaczęliśmy konwersację, która jednak się nie kleiła. Dowiedziałem się tylko, że jej największym marzeniem jest zostać w przyszłości – tak jak jej mama – sekretarką i pisać na maszynie. Co prawda była to poniekąd randka i pewne zasady *savoir-vivre'u* powinny obowiązywać, ale w końcu każdemu może się zdarzyć. Słyszałem od mojego kuzyna Marka o jeszcze „gorszym” przypadku, kiedy to dziewczyna pierdnęła swojemu chłopakowi prosto do nosa podczas uprawiania seksu oralnego. To już można by zakwalifikować jako obciach (a tak swoją drogą, ciekawe skąd Marek zna takie historie...). Po tym wieczorze starałem się jej unikać jak tylko mogłem, żeby nie rozbudzać w

dziewczyźnie większych nadziei. I wcale nie chodziło o to pierdnięcie – sam uwielbiałem puszczać głośne bąki, zwłaszcza podczas kąpieli. Po prostu zacząłem się czuć jakiś spięty w jej towarzystwie i trochę przeszkadzało mi to, że patrzy niby na mnie, a jakby nie na mnie...

A co do puszczenia bąków w wannie, to urządziłem sobie czasami w domu swego rodzaju zawody, zwłaszcza gdy piętro wyżej kąpał się jeden z sąsiadów. Potrafiłem ich nawet rozróżniać – senior pierdziął głośno i rzadko, a junior częściej, ale nieco słabiej. Współzawodnictwo polegało mniej więcej na tym, że na każde pierdnięcie sąsiadów, odpowiadałem co najmniej dwoma bąkami. Kiedy oni mnie „przebijali” trzema, to ja ich próbowałem „ograć” czterema itd., itd. W tych biednych, komunistycznych czasach dla niejednego była to nie tylko darmowa rozrywka i zwykłe, naturalne pozbywanie się toksyn, ale poniekąd pewien posmak luksusu (pomijając walory zapachowe) – przysłowiowy Kowalski mógł się przynajmniej przez chwilę poczuć jak prominentny członek Komitetu Centralnego PZPR w jacuzzi... Tym bardziej, że dieta ówczesnych Polaków, oparta głównie ma ziemniakach i kapuście, jak najbardziej sprzyjała perystaltyce jelit.

Sam do końca nie pamiętam jak to się stało i kiedy, ale podałem Petrze mój domowy adres. Po jakichś dwóch tygodniach po obozie przyszedł list. Już sama koperta przyozdobiona była kwiatkami i serduszkami, nie mówiąc o jej zawartości. Jak zwykle korespondencja przeszła przez cenzurę, czyli matkę, która ją otworzyła „bo nie wiedziała, co to jest”. Chyba ją wtedy nienawidziłem za tą ciągłą inwigilację, jakby co najmniej pracowała na etacie w SB! Mogła przynajmniej z powrotem zakleić tą cholerną kopertę! W liście Petra pisała o tym, że dla mnie zerwała z jakimś Stefanem (tak jakbym go znał) i nie rozumie dlaczego ją unikałem po tym, co razem przeżyliśmy. Prosiła o

wybaczenie, jeśli mnie jakoś uraziła i o szybką odpowiedź na list. Wstyd przyznać, ale minęło już ponad ćwierć wieku, a ja wciąż nie wiem, co jej odpisać... Może lepiej jakby wróciła do tego Stefka albo poszukała sobie innego chłopaka, któremu się spodoba.

Na obozie przydarzył się jeszcze jeden nieprzyjemny dla mnie incydent – po raz pierwszy w życiu znalazłem się w łóżku z obcą kobietą. Pewnej nocy obudziło mnie głośne chrapanie i zapach alkoholu. Z przerażeniem stwierdziłem, że na mojej pryczy leży... pani wychowawczyni. „Musieli nieźle chlać do późna w nocy” – pomyślałem sobie. Po chwili konsternacji i szoku postanowiłem jakoś pozbyć się intruza.

– Psze pani, psze pani – zacząłem ją budzić szeptem. – Pomyliła pani domki – tu jest dla chłopców.

Ale ta głupia stara krowa dalej chrapała mi do ucha przez co najmniej godzinę. Trzymałem się kurczowo za genitalia (tak na wszelki wypadek) i modliłem się do Najświętszej Pani, żeby ten koszmar się skończył. Około czwartej nad ranem wychowawczyni w końcu oprzytomniała i poszła do siebie. Na następny dzień rano nikt nie chciał mi uwierzyć w to, co się wydarzyło. Dopiero Szczurek zauważył w koszu na śmieci coś podejrzanego. „O cholera, to przecież babski wacik!” – wrzasnął z obrzydzeniem. Żeby nie robić z tego afery, wzięliśmy zużyty tampon do papierka i wyrzuciliśmy go na zewnątrz do kontenera na śmieci. Od tego momentu reszta chłopaków zaczęła się dziwnie zachowywać w stosunku do mnie; wydawało mi się, że mi współczują jakbym co najmniej stracił dziewictwo.

Sierpień spędziłem na wsi u babci. Kąpiel w jeziorze i górskiej rzece, gra w piłkę, zabawa w „udawanie niewidzialnych”, w chowanego, wyścigi w rwącym górskim potoku na dmuchanych materacach (straty: rozerwany materac, zgubiony



chiński trampek, rozbite kolano i guz na czole) – to tylko nie-liczny wybór z rozrywek, którym oddawałem się wraz z kuzy-  
nami i miejscowymi kolegami.

– Co ci się stało w głowę?! – krzyczała mama.

– Poślizgnąłem się na jakimś pieprzonym kamieniu jak  
chodziłem po rzece – wyjaśniłem w miarę klarownie, jak mi się  
wydawało.

– Tylko się nie wyrażaj! Ale jak mogłeś zgubić but w tak  
płytkiej wodzie?!

– Nie mam zielonego pojęcia! – odpowiedziałem zgodnie  
z prawdą, ponieważ rzeczywiście nie miałem zielonego pojęcia.

Wolałem nie martwić mamy, więc jej nie powiedziałem, że  
po tym jak przywaliłem głową w głaz, straciłem na chwilę przy-  
tomność. A gdy wyciągnęli mnie na brzeg, to trampka już nie  
było. Pewnie popłynął do Bałtyku. Może nawet dopłył do  
Szwecji... Jeśli chodzi o kąpiel w jeziorze, to było to cholernie  
ryzykowne nie tylko ze względu na muł, który w pewnych miej-  
scach sięgał nawet kolan, ale przede wszystkim na bogatą florę  
bakteryjną – do jeziora spływały ścieki z wszystkich okolicz-  
nych miejscowości. Czasami podczas kąpieli można było napo-  
tkać spore kawałki gówien, które nie zdążyły się jeszcze rozpu-  
ścić w wodzie. Miarka się przebrała, gdy wróciłem kiedyś z nad-  
jeziora z takim kawałkiem we włosach, który podczas obiadu  
wpadł mi prosto do talerza z ogórkową. Postanowiłem wtedy,  
że do końca wakacji już nie wejdę do jeziora.

No i te ogniska z kartoflami i jabłkami! Kielbasa niestety  
było towarem deficytowym... A prażucha ze skwarkami (specjał  
babci Weroniki)? Palce lizać! Kto by pomyślał, że zwykła mąka  
gryczana zmieszana z wodą może tak smakować... Wieczorne  
spacery brzegiem jeziora, spanie pod namiotem w ogródku.  
Kompletna beztraska i uczucie, że wszystko co najlepsze jesz-

cze przede mną; że wszystkie marzenia, nawet te najmniej prawdopodobne, spełnią się. Kiedyś.

Zwłaszcza jeden wieczór zapadł mi głęboko w pamięci – zbierało się na burzę, na dworze szalała straszna wichura, było ciemno. Siedziałem sobie przy piecu kuchennym, prababcia Magdalena chrapała w pokoju obok (bardzo odczuwała wszelkie zmiany pogody, zwłaszcza spadek ciśnienia). Spoglądałem przez okno, to znów na obraz przedstawiający świętego Antoniego, który wisiał od dawien dawna w kuchni uwięziony w szerokiej, prostej ramie i myślałem o tym, żeby zapamiętać tę chwilę na zawsze, do końca życia, bo poczułem się przez ten moment szczęśliwy (cokolwiek to słowo oznacza). Takich chwil jest naprawdę niewiele w życiu. Nie znałem wtedy jeszcze prozy Bułhakowa, chociaż w myślach wypowiadałem słowa Fausta z „Mistrza i Małgorzaty”: „Chwilo trwaj, jesteś taka piękna”.

**Spis treści:**

<b>Carpe diem, czyli od autora słów kilka .....</b>	<b>4</b>
<b>Prolog, czy coś w tym rodzaju.....</b>	<b>6</b>
<b>Nie będzie Chińczyk pluł nam w twarz.....</b>	<b>12</b>
<b>Ferie zimowe .....</b>	<b>16</b>
<b>Jaś i Małgosia .....</b>	<b>20</b>
<b>Takie małe bum .....</b>	<b>23</b>
<b>Toż to szok! .....</b>	<b>25</b>
<b>Wielkanoc.....</b>	<b>27</b>
<b>Amore kapuściores .....</b>	<b>34</b>
<b>„Czy to jest przyjaźń? Czy to jest kochanie?” .....</b>	<b>36</b>
<b>Randka w ciemno .....</b>	<b>40</b>
<b>Początek lata .....</b>	<b>43</b>
<b>Spaleni słońcem.....</b>	<b>47</b>
<b>Wakacje.....</b>	<b>50</b>
<b>Świniobicie .....</b>	<b>57</b>
<b>Czy Bóg istnieje? .....</b>	<b>59</b>
<b>Matka.....</b>	<b>65</b>
<b>Ojciec.....</b>	<b>67</b>
<b>Sąsiedzi, neandertalczyki i moja prawa stopa .....</b>	<b>69</b>
<b>„Niech nasza modlitwa będzie pokorna” .....</b>	<b>75</b>
<b>Dziadek, czyli „to się może jeszcze na coś przydać” .....</b>	<b>77</b>

Anioły i demony .....	79
Być czy mieć .....	82
Mistrzowie nunchaku .....	84
„Po dobrej wódzie lepszy jestem w dżdzie” .....	87
Spotkanie trzeciego stopnia.....	89
Lekcja religii.....	91
Cudotwórca .....	93
Nowe słowo na literę „ł” .....	95
„Sporty” i zapach śledzia .....	97
Rozmowa, która się nie klei .....	101
Radio i telewizja kłamie .....	103
Marzenia za bony .....	107
Duchy z talerzyka.....	110
Karol May i Majowie .....	112
O jedną pigułkę za dużo .....	115
Dziadek świętuje 66 urodziny .....	116
Święta Bożego Narodzenia .....	125
Zemsta nie zawsze jest słodka .....	129
„Śniła mi się we śnie rzeczywistość” .....	132